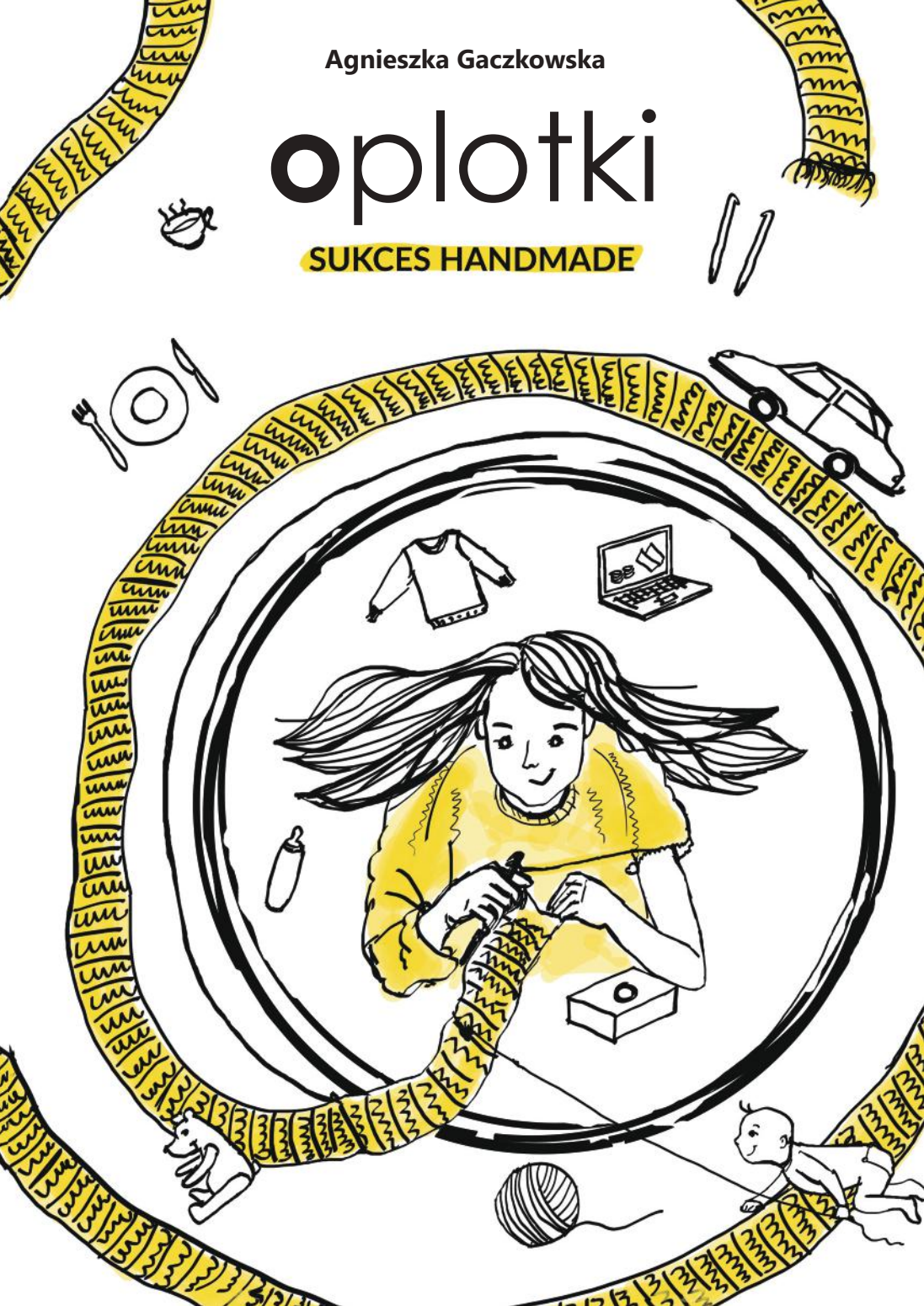
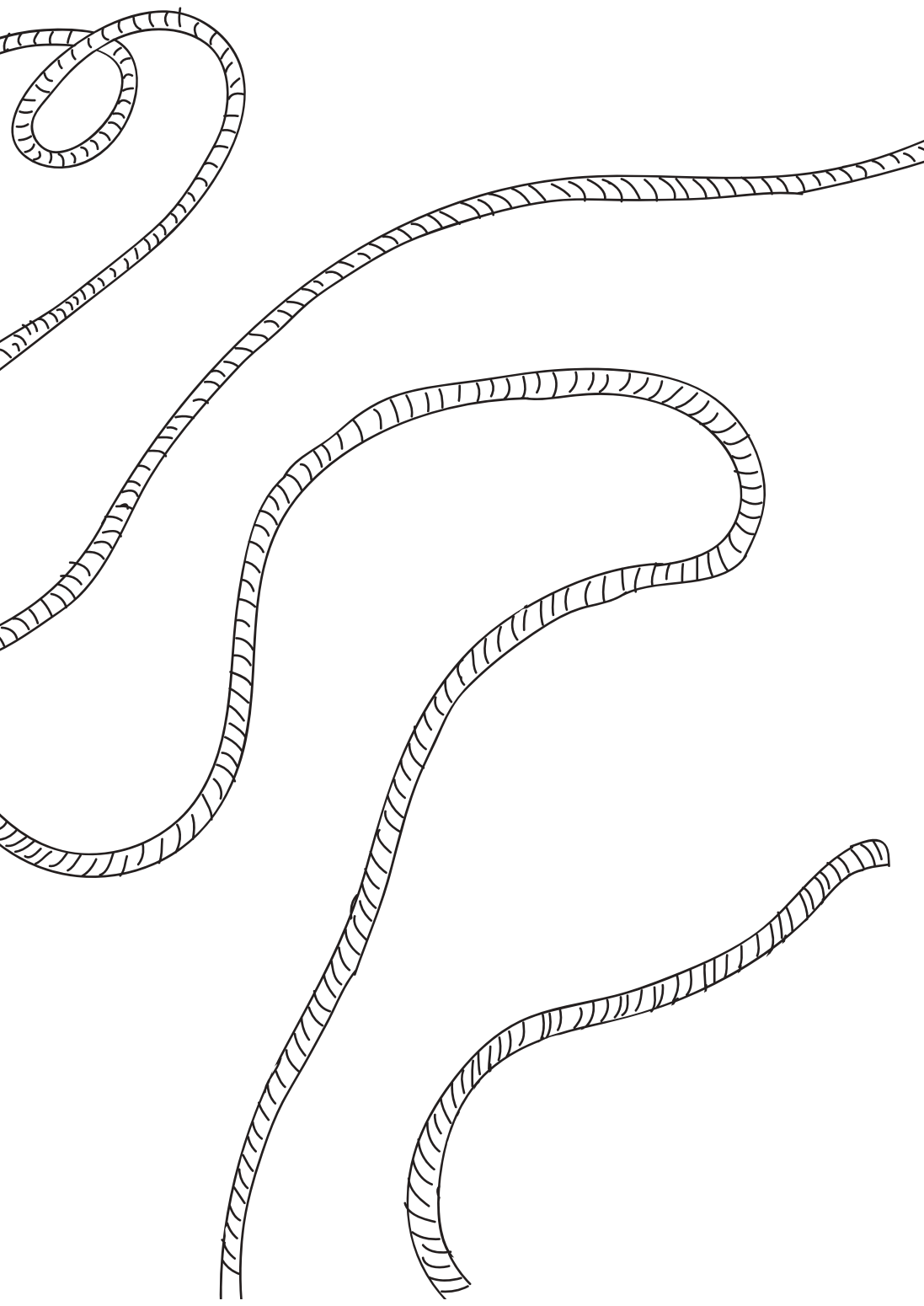


Agnieszka Gaczkowska

oplotki

SUKCES HANDMADE







ROBIMY,
ROBIMY

robimyrobinymy.pl

*Starej
co ty pleciesz* 

www.stringartpolska.pl

MANUAL
&
NATURAL

HANDMADE
from
POLAND

PASJE

MONY

Agnieszka Gaczkowska

oplotki

SUKCES HANDMADE



W S T Ę P

Ostrzegam.

Nie przebierałam w słowach (jak babcia, która przy darciu pierza potrafiła jedną frazą takiej życiowej mądrości skwitować mój półgodzinny monolog mędrkującego podlotka). Celowo się dyscyplinowałam, by nie pudrować rzeczywistości. Tego mamy pod dostatkiem w social mediach na co dzień.

Słowotok pewnie mam właśnie po babci – pisałam jednym wielkim ciągiem. Dla złapania oddechu pokroiłam tekst na rozdziały. Nie mogłam się oprzeć i szydełkowe metafory same cisnęły się na usta, kiedy szukałam odpowiednich fraz, które uchwycą ich sens. Brakowało mi jednak czegoś na końcu każdego z rozdziałów.

Dodałam refreny. (Że co?! Refreny to chyba w piosenkach raczej, nie?) Ano właśnie refreny! Przy darciu pierza dużo się śpiewało, kiedy wyczerpały się słowa.

Refreny, czyli powtarzające się podsumowania. Nie mogło ich zabraknąć w tej książce.



Rozszyfruję je dla Ciebie:

jednym słowem

to fragment, który streści Ci, o czym właściwie napisałam w danym rozdziale (na wypadek, gdyby trzeba było do czegoś wrócić w trakcie czytania), ale w formie enigmatycznej rękodzielniczej metafory.

a dokładniej

to taki wniosek, który uderzył mnie z siłą prądu, który przechodzi, kiedy w nocy bosą stopą nadeptuje się na klocek Lego. Wniosek, którym po prostu MUSIAŁAM się z Tobą podzielić.

zawiłość

to pytanie, które sobie zadawałam na danym etapie. Może kiedy zadasz je również sobie, odpowiedzi zaskoczą Cię dokładnie tak, jak i mnie zaskoczyły moje.



Spodziewaj się refrenu na końcu każdego z rozdziałów.
Wracaj do niego, kiedy utkniesz. Interpretuj na nowo, kiedy
zechcesz wrócić do tej lektury.

Podziel się ze mną spostrzeżeniami (jeżeli zechcesz) i śmiało
pisz na adres ksiazka@oplotki.pl.

Choć do mądrości babci jeszcze mi daleko, mam wrażenie,
że tym tekstem podtrzymuję pewną ceną tradycję.

Mówienia wprost, jak jest.

Dawania sobie nawzajem mocy.

Wspólnego odzierania (się) ze złudzeń.

Potęgę spotkania kobiecego kręgu serwuję Ci jednak w nieco
unowocześnionej formule.

Zapraszam Cię na to spotkanie.

Zapraszam Cię na „Darcie pierza 2.0”.

Zapraszam Cię na wspólne PLOTKI przy oplataniu.

Zapraszam Cię na (O)PLOTKI.

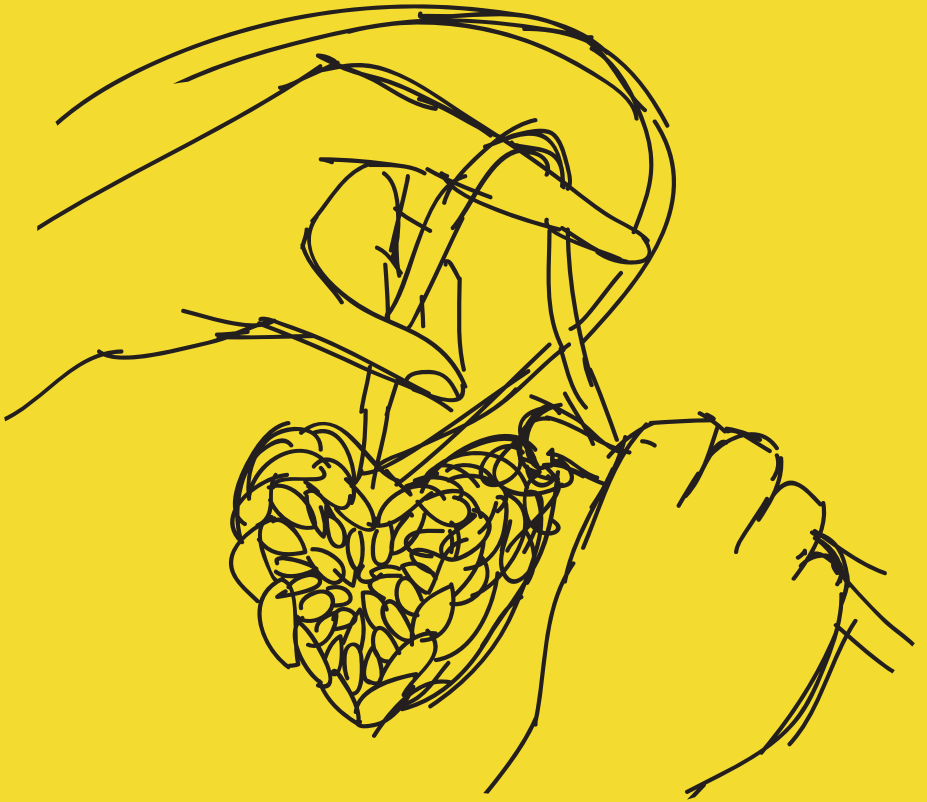
Agnieszka



spis treści

	<i>O... ode mnie</i>	9
1.	<i>O... tej jednej chwili, która zmieniła wszystko</i>	13
2.	<i>O... tych fajniejszych kolorach sznurka... ...czyli macierzyństwo w momentach, kiedy jest fajnie na autopilocie</i>	27
3.	<i>O... rozplątaniu starych supeteków... ...i zaplątanych nowych motkach myśli</i>	33
4.	<i>O... władaniu szydełkiem... ...czyli jak szydełkowe sabaty wyszły z domu</i>	41
5.	<i>O... trudniejszych schematach... ...bez autokamufażu</i>	47
6.	<i>O... wyjściach... ...szydła z worka też</i>	59
7.	<i>O... patchworkowej metodzie na pewną szydełkową pracę</i>	73
8.	<i>O... nowych technikach... ...czyli dzieląc się, pomnożysz</i>	81
9.	<i>O... zamianie szydełka na druty</i>	89
10.	<i>O... nowych schematach... ...i nie zawsze kolorowych włóczkach</i>	97
11.	<i>O... dzierganiu razem... ...i osobno</i>	111

- 
12. *O... kasie na włóczki...* 117
...rasowe wełny i skrzypiące akryle
13. *O... „Darciu pierza 2.0”* 125
14. *O... najbardziej skomplikowanej robótce,* 133
jaką dotychczas dziergałam
15. *O... dzierganiu bez schematu...* 143
...albo poza dawnymi schematami
16. *O... moich włóczkach...* 153
...całkiem fajne kolory znalazłam gdzieś tam na dnie
17. *O... tych momentach, kiedy odkładasz robótkę na dno szafy...* 161
...i o innych, kiedy znowu po nią sięgasz z nową energią
18. *O... dzierganiu dla niedziergających...* 169
...i niedzierganiu dla dziergających
19. *O... nierównych robótkach* 177
20. *O... pruciu...* 185
...i dzierganiu od nowa
21. *O... innych technikach...* 193
...bo nie samym szydełkowaniem człowiek żyje
22. *O... rrrrety!* 201



O... ode mnie

MIAŁO BYĆ
DO BÓLU SZCZERZE. MIAŁO BYĆ KRÓTKO,
ZWIĘŻLE I NA TEMAT. MIAŁO BYĆ TAK, JAK
SAMĄ CHCIAŁABYM, ABY DO MNIE PISANO.
IM DŁUŻEJ O TEJ KSIĄŻCE MYŚLAŁAM, TYM
ZESTAW POPRZECZEK DO PRZESKOCZENIA
POSZERZAŁ SIĘ O NOWE
„MIAŁO BYĆ”.

10

Zaczęłam więc (w końcu) pisać.

To nie... (za szczerze).

To nie... (bo będzie za długo).

*To nie... (skoro sama omijam ten akapit, po co ktokolwiek
inny miałby go czytać).*

*Niewątpliwie im dłużej pisałam, tym bardziej autocenzura
pochłaniała smakowite detale. W pewnym momencie po
prostu powiedziałam STOP. W końcu ta książka nie ma
być ładna, grzeczna i dla każdego.*

Chodzi o podzielenie się z Tobą pewną prawdą. Może Twoje spojrzenie na świat jest zupełnie inne. Może nie zgodzisz się ze mną w milionie miejsc. Ale wiesz co? To będzie znaczyło, że obie dajemy sobie prawo do szczerości.

Napisałam tę książkę, bo sama wpasowuję się wciąż w schematy. Na Facebooku piszę lekkie posty. Na Instagramie wrzucam ładne fotki. W blogowych wpisach daję wartości „pod korek”. Na YouTube nie wrzucę filmu bez makijażu, a podcast staram się nagrywać w ciszy i przynajmniej z minimalnym skryptem przed nosem. Na dodatek z armią niezastąpionych pomocników i pomocniczek, tworzących Oplotkowy zespół.

Zapraǳnęłam znówu – tak po prostu – napisać „od człowieka dla człowieka”. Bezpośrednio. Bez konwencji i schematów.

Poczułam, że w końcu mam w sobie odwagę, żeby opowiedzieć Ci moją historię. Bez udawania. Bez upiększania. Bez sprzedawania. Prosto z mostu. Bezpośrednio – taka, jaka jest. Nie omijając momentów zwątpienia i zagubienia.

Ale też... nie przemilczęć chwil triumfu i pewności siebie. Pogodzić się z porządkiem i z bałaganem. Z niewyspaniem i nieumytą podłogą. Dlatego właśnie napisałam tę książkę.

Zapraszam Cię do zanurzenia się w poplątanym świecie mięciutkich włóček, twórczych rozmów i (szydełkowych) wzorów na (własną) codzienność.

Rodzina. Praca. Dom.

Ambicje i cele.

Cenne porażki i jeszcze większe małe zwycięstwa.

Agnieszka



ROZDZIAŁ 1

O... tej jednej
chwili, która
zmieniła wszystko

Milion kawałków karoserii i ciał na poboczu drogi S5. Ten makabryczny obraz przemknął mi przez głowę i w ułamku sekundy zdyscyplinowałam się, odrzuciłam wizję, aby zacząć w głowie układać listę zakupów na obiad.

Szybki rzut oka na zegarek. Dobrze. Jeszcze tylko dwadzieścia minut przesypywania piasku, pięć minut na scenę ryku („nieee, mam, jeszcze pięć minut!”), potem pięć minut na rzezone „jeszcze pięć minut”. Kolejne siedem minut do sklepu (idealnie w porze drzemki w wózku) – pędzę po siaty sałaty, marchewek i kaszy jaglanej do warzywniaka. Po drodze wstępuję do mięsnego. Albo nie, jednak odpuszczam, przecież postanowiliśmy być wege, więc nie wstąpię.

Dobrze, jeszcze tylko przetrwać te dwadzieścia minut.

Uśmiecham się do rozmówczyni.

Porywająca dyskusja na temat bostonki w żłobku i legend o wszawicy. Jak dobrze, że już postanowiłam nie oddawać córki do przedszkola, skoro jest nieobowiązkowe. Czuję się jakaś taka heroicznie lepsza, bo nie idę na łatwiznę. Nie oddaję dziecka do placówki, tylko sama ogarniam dwudaniowe obiady zgodne z dietetycznymi trendami dla dzieci.

Niani też nie mam – no w życiu!

Jak widzę tę babkę przeglądającą posty na Facebooku, podczas gdy jej podopieczna gmera w mokrym błocie, a gile z nosa wiszą jej do kolan... skręca mnie na myśl, że miałabym komukolwiek powierzyć opiekę nad moim skarbem. I jeszcze bardziej mnie skręca, kiedy pomyślę, że miałabym za taką opiekę płacić.

Dobrze, że na placu **spotykam też te nieinstatealne mamy.** Z nimi da się jakoś porozmawiać o naszej mamorzeczywistości bez zbędnego udawania.

I nagle... moment magii.



Widzę ją.

Nie znam jej osobiście. Nie mam pojęcia, jak ma na imię. Jednak widywałam ją niemalże każdego dnia na placu zabaw przez jakieś pół roku, zanim przeprowadzili się z naszego osiedla do domku. Tak przynajmniej mówiła plotka, nieważne.

Piękna. Spokojna. Niby ani wysoka, ani szczupła, ale jakaś taka smukła.

Powabna.

O, to jest dobre słowo.

Taka wyprostowana, pewna siebie, z delikatnym makijażem, starannie zaplecionym warkoczem (zero siwych włosów!). Niemłoda, ale zmarszczki jakieś takie dobre, poczciwe, wyrzeźbione szczerym uśmiechem. Zawsze z innymi kolczykami. Zawsze z dwójką dzieci (Jezu, jak ona to robi?! Ja z jednym ledwo zipię, a tu bliźniaki!). Rasowy but. Designerska kiecka albo przynajmniej spodnie plus uprasowana koszula (zero brudnych dziecięcych łapek w okolicy dekoltu). Trochę nieobecna. Ciągle gmerająca w torebce i zapisująca jakąś umykającą myśl w notesie we flamingi i ananasy (porysowanym gryzmołami któregoś z maluchów) pięknym pisakiem do bullet journalingu.

Fajna babka. Nie, nie ta, którą moja pierwszorodna rozwaliła w piaskownicy i znowu muszę naprawiać, deklamując: „Babko, babko, udaj się, bo jak nie, to cię zjem”. Ta druga, ta powabna babka. Jedyna na placu zabaw, z którą udaje się pogadać o czymś więcej niż kolor kupy w pampersie (o, pardon – w wielorazowej ekopieluszcze) i nietolerancji pokarmowej na pszenicę (wyszło na ostatnim biorezonansie). Dieta bezglutenowa na czasie, to dobrze się składa. No i o wszawicy w żłobku (to *ice-breaker*, pewniak na ławce koło piaskownicy).

Taka babka jest inna. Taka wyluzowana.

Potrafi mówić godzinami o programowaniu. Choć nie rozumiem nic z tego jej JavaScriptu, to słucham pasji w głosie jak symfonii. Jest tak pozytywna, że nie rusza jej nawet miauczący na rękach dwulatek. (Jak się cieszę, że moja mała ma dwugodzinne drzemki – jej bliźniaki śpią tylko czterdzieści minut). Uśmiecha się dużo, ale tak naturalnie i (świadomie lub nie) wlewa we mnie kojący balsam „lepszego świata”. Takiego spoza macierzyństwa.

Irracjonalnie tęsknię za jej towarzystwem.

Nasze dzieciaki się lubią, ale jej bywają na placu najczęściej w ramach żłobkowego spacerku. Swoją drogą, to dla mnie zagadka – dlaczego od czasu do czasu, tak po prostu, bywa na placu z nimi w środku tygodnia, skoro są zdrowe i teoretycznie powinny być w żłobku?

O rety – już ta godzina!!! Znowu się zamyśliłam. Wracam do domu. Mała jeszcze kima, więc zdążę nawet dwudaniowy obiad trzasnąć. Może przeproszę kilka koszulek. Podłogę na pewno też zdążę przetrzeć. Bełtając w pomidorówce, łapię się na tym, że myśli znowu uciekają do wczorajszej nocy. Bezsennej.

Przed oczami ciągle te emocje, kiedy wyrwana z jakiegoś ułamka półsnu, około dwudziestej, ocknęłam się na poboczu. Było tak niebezpiecznie blisko... do miliona kawałków karoserii i ciał obok jezdni. To był znak. Ostrzeżenie. Nie da się mieć wszystkiego naraz.

Nie da się być właścicielką biura architektonicznego, która co tydzień pędzi na konsultację projektu do klienta na drugim końcu Polski, zahaczając po drodze o dom mamy, jakieś sto kilometrów od Poznania (bo przecież jaka niania, jaki żłobek? Dla mej pierworodnej jedyna słuszna opieka to JA, ewentualnie raz na dwa tygodnie babcia).

Nie da się nocami klikać kreseczek na rzutach i przekrojach wnętrza biurowego, nie da się wypełniać w skrajnym zmęczeniu drzemek dziecka zaległymi telefonami do klienta. Nie da się być





jednocześnie eko-bio-wege-insta mamą z wycaczanym wnętrzem, pełnym najnowszych książeczek sensorycznych, wyszukiwanych godzinami na niszowych blogach parentingowych.



Niby gdzieś w środku czułam zgrzyt, ale nie, mama na pewno nie ma racji. Przecież nie będę wybierać! **Właśnie że będę supermatką i właścicielką firmy. Jednocześnie!** Co? Ja nie dam rady?! JA?!

Jechałam jak zawsze – ostrożnie, nie za szybko, z muzyką sączącą się z radia. Pamiętam, że odhaczałam w głowie niekończącą się listę zadań.

Śniadanie – było. (Trzeba je zjeść. W końcu to najważniejszy posiłek dnia. Granola. Samodzielnie wypieczona. Kawy nie. Bo przy karmieniu to podobno niezdrowo. Nawet jak tak błogo pachnie...)

Posprzątane po – było. (Podłoga numer jeden, blaty i przy okazji małe łapki i buzia – zero mokrych chusteczek, bo przecież takie rakotwórcze, nie eko i zawalają śmietnik. Tylko tetrowe pieluszki. Osobne do buzi, osobne do rączek, osobne do podłogi. Byłe nie pomylić).

Maluda wystrojona i zapakowana do babci – było. (Najlepsze ciuszki, pieluszki jak na weekend, bo mama przebiera po każdej kropelce siku. Milion śliniaczków, bo muszą być ciągle czyściutkie pod buzią. Tona zabawek „w razie czego”).

Milion rzeczy, które miałam mamie powiedzieć, przekazać, oddać, przywieźć – było. (Jakieś bułeczki z naszej piekarni przywożę, kosmetyki zamawiam przez neta, coś tam z Poznania dostarczam, bo w tej małej mieścinnie nie uświadczysz. Zawsze coś pilnego się znalazło. Tuzin telefonów trzeba wymienić przed wyprawą).

U klienta – było. Tutaj osobna podlista: przeanalizować problematyczne punkty w projekcie wnętrza biurowego, uzgodnić, czy mamy budżet na zaproponowane rozwiązania, czy szukamy tańszych zamienników. Ruszamy dalej z projektem, czy czekamy na brakujące wyceny? Czy... Czy... Czy... Czy już możemy kończyć, bo muszę jechać po dziecko, żeby dojechać przed północą do Poznania? W końcu żarciki i prywatne historyjki szefa firmy nie wymagają mojej obecności.

Znowu u mamy – było. (Szczegółowy raport: co też wnusia jadła, dotykała, robiła, jak się bawiła i dlaczego znowu robię coś totalnie nie tak. Do tego informacja, jak jest dla dzieci najlepiej. Zaliczenie drugiego obiadu – „No jak to? Mojego obiadu nie zjesz?” – choć już dawno po kolacji... i pouczające: „Dziecko już śpi, na pewno nie zostaniesz u nas na noc? Dlaczego tak ją przenosisz i wybijasz ze snu?”).

Nareszcie w drodze do domu. No właśnie...

Chyba gdzieś pomiędzy analizowaniem, co z auta absolutnie

